

## Geneza metafory, czyli lektury pani prokurator

Można dość precyzyjnie prześledzić funkcjonowanie w polszczyźnie zbitki „bandy leśne”: na większą skalę, przekraczając opłotki prasy PPR-owskiej czy materiałów resortu bezpieczeństwa wchodzi do języka propagandy i dziennikarstwa na przełomie roku 1946 i 47, z największą częstotliwością używane jest u progu lat 50. Po roku 1954 jego popularność wyraźnie słabnie.

Zgiełk wokół najlepiej dziś rozpoznawalnej w Polsce prokurator powoli cichnie, do czego przyczynił się zapewne zarówno olimpijski w swym spokoju minister Bodnar („Mam wrażenie, że tworzona jest pewna (...) narracja, która ma właśnie podważyć zaufanie do prokuratury, do instytucji państwowych”), jak i sama bohaterka, jeśli to stosowne słowo, wydarzeń, która zadeklarowała wczoraj zawieszenie swej nader hojnej do tej pory obecności w mediach społecznościowych.

Brak mi kompetencji, by komentować zarówno bezpośrednio podejmowane przez nią ostatnio decyzje zawodowe, jak ich konsekwencje. Chciałbym jednak jako historyk kultury zatrzymać się jeszcze przez chwilę przy jej wcześniejszych wypowiedziach, przyjrzeć się im zarówno ze zrehabilitowanej w wypowiedzi min. Bodnara perspektywy narratologicznej, jak z wykorzystaniem podstawowych narzędzi językoznawstwa, leksykologii i bibliografii.

Myślę naturalnie przede wszystkim o komentowanej już szeroko metaforze historycznej użytej przez panią prokurator, niesprawiedliwie przeoczonej, gdy padła przed blisko rokiem w rozmowie z dziennikarką tygodnika „Polityka”, Ewą Siedlecką. „Żyjemy w czasach powojennych, gdzie «po lasach grasują bandy», państwo wciąż jest zagrożone” – powiedziała wówczas jej rozmówczyni, frazę o bandach ujmując w elegancki cudzysłów.

Jest to, nie da się ukryć, najpoważniejszy od co najmniej dekady zwrot w metaforze historycznej stosowanej przez obóz, do którego nie kryje sympatii pani prokurator: można go wręcz porównać do manewru gazika, którym poruszał się generał Karol Świerczewski, gazika zawracającego, jak wiadomo, niemal w miejscu na szutrowej szosie pod Jabłonkami. Środowiska sympatyków Platformy Obywatelskiej, szczególnie ich bardziej radykalne odłamy – dawniej KOD, dziś Silni Razem – stale sięgali po analogię do prymarnego dla PRL podziału politycznego na dyktatorską, bezduszną władzę oraz obywatelską, motywowaną etyką opozycję. Analogia ta była mocno rozciągliwa temporalnie, Jarosława Kaczyńskiego chętnie przyrównywano do Gomułki z okolic Marca, do wyalienowanego Gierka, najchętniej jednak, najgoręcej, odwoływano się do najżywszych w pamięci lat osiemdziesiątych: materiały kampanijne PO pisano *solidarycą*, wspomniano metafory i praktyki stanu wojennego i jeszcze intensywniej niż dekadę wcześniej animowano swoisty kult czwartego czerwca, „święta triumfu demokracji”. Bez szczegółów może, bez opowieści o losach listy krajowej – ale żarliwie. Przejście od despektu wobec oprawców (Bierut, Kaczyński, Fejgin, Gliński, Kiszczak) do drapowania się w sprany drelich oficera Informacji, który zaczerwienionymi z bezsenności oczyma wygląda londyńsko-eneszetowskich band – tak, to jest twist.

To, czy mamy do czynienia z jednorazową inicjatywą, z aktem swoistej nadgorliwości, przekonamy się w najbliższych tygodniach. Jeśli nie usłyszymy zbyt wiele o demaskowaniu knowań sługusów jankeskiego imperializmu, o konfiskowaniu majątków ziemskich i zbieraniu stonki, jeśli prowadząca dochodzenia Prokuratura Generalna nie przywoła apelu z poematu „Towarzyszom z Bezpieczeństwa” („Notuj, majorze, notuj / szukaj, majorze, nici”) – będzie to znaczyło, że w przypadku pani prokurator mieliśmy do czynienia jedynie z jednorazowym przegięciem pałki, z zawrotem głowy od sukcesów, z zachłyśnięciem się frazą z przeszłości. I tak zapewne będzie, tym więc, co mnie naprawdę interesuje jest geneza metafory. Jak kształtowała się wyobraźnia historyczna osoby, która w lekkiej euforii, jaką przynosi wywiad dla prestiżowego tygodnika, zdecydowała się przywołać „grasujące w lesie bandy”?

Sam termin „banda” towarzyszy polszczyźnie od ponad dwustu lat. Notuje go w swoim słowniku już nieoceniony Linde, u niego oznacza to jednak „zgraję, kupę ludzi, spółkę”. „Bandę gachów przy sobie włączyła” – przywołał zdanie z „Rocznika Teatralnego”, wydawanego przez Grölla. I tak działo się w polszczyźnie aż do połowy XX wieku. Dopiero Doroszewski w „Słowniku języka polskiego” (wyd. 1958) wśród cytatów, ilustrujących pierwsze ze znaczeń tego słowa („grupa ludzi popełniających czyny będące w kolizji z prawem; szajka”) obok fraz z Orzeszkowej, Kaczkowskiego i Mickiewicza („...krzyknie starszy zbójca / i spędza bandę precz z drogi”) przywołuje również „bandy leśne [które] zabijały ludzi, szerzyły strach, niszczyły transport”.

Zdanie to pochodzi, oczywiście, z powieści Kazimierza Brandysa „Człowiek nie umiera” (Warszawa, 1951). Doroszewski ilustruje jeszcze nowe znaczenie słowa „banda” dłuższym zdaniem z podręcznika („Reakcja, korzystając z

pomocy imperialistów anglosaskich, organizowała we wszystkich krajach demokracji ludowej bandy dywersyjne...”). Jednak „Nauka o Polsce i świecie współczesnym” (Warszawa, 1950) również, podobnie jak epika Kazimierza Brandysa, nie doczekała się wydań po roku 1955. Czy to możliwe, by akurat te dwie książki znalazły się w dzieciennym pokoju kilkuletniej wówczas przyszłej pani prokurator? By to na nich uczyła się czytać?

Wydaje mi się to niemożliwe dla jednego przede wszystkim powodu: słabej jakości produkowanego ówczesnie papieru i poważnych niedociągnięć branży introligatorskiej. Książki wydawane 75 lat temu pyłą i rozsypują się w dłoniach: nikt odpowiedzialny nie dałby ich do zabawy czy nauki kilkuletniemu dziecku.

Oczywiście, o bandach pisali nie tylko Kazimierz Brandys i współautorka „Nauki o Polsce..” Walentyna Najdus; pisali Hamera i Siekierski, ba – Borowski i Woroszyński. Można dość precyzyjnie prześledzić funkcjonowanie w polszczyźnie zbitki „bandy leśne” (*scil.* formacje poakowskie, WiN czy partyzanka antykomunistyczna): na większą skalę, przekraczając opłotki prasy PPR-owskiej czy materiałów resortu bezpieczeństwa wchodzi do języka propagandy i dziennikarstwa na przełomie roku 1946 i 47, z największą częstotliwością używane jest u progu lat 50. Po roku 1954 jego popularność wyraźnie słabnie; z opracowań podręcznikowych znika pod koniec lat 60.

Piszę o tym tak szczegółowo, nie przestając dociekać fundamentów wyobraźni historycznej pani prokurator. W grę nie wchodzi, z oczywistych powodów metrykalnych, osobiste zetknięcie się z tą terminologią. Myśl, że jako przedszkolaczka sporządzała wycinanki ze starych numerów tygodnika MO i SB „W służbie narodu” również odrzucam. Podobnie, zgodnie z newtonowską

dewizą *hypothesas non fingo*, nie rozważam nawet perspektywy usłyszenia terminu „grasujące po lasach bandy” podczas spotkań rodzinnych: brak mi po temu jakichkolwiek danych. Ale w takim razie – jak?

I tu z pomocą przychodzi bibliografia. Z książek wysokonakładowych i wielokrotnie wznawianych termin „bandy leśne” pojawia się w dwóch tytułach: „Barwach walki” Mieczysława Moczara oraz „Rano przeszedł huragan” Władysława Machejka. Ta pierwsza po raz ostatni wydana została, nakładem KAW, w roku 1988. Ostatnie wydanie „Huraganu...” jest niewiele wcześniejsze: wydała go (po raz siódmy) w roku 1985 oficyna tak zasłużona jak Wydawnictwo Literackie.

Koniec lat 80. to, oczywiście, nie wczoraj: księgozbiory z tamtych czasów mają się jednak zwykle naprawdę dobrze. Perspektywa (oczywiście, hipotetyczna), że perłami biblioteki pani prokurator są książki Machejka i Moczara pozwala spodziewać się wielu jeszcze jej inicjatyw – zarówno śledczych, jak słowotwórczych.

Chociaż, prawdę mówiąc, wszystkie te moje przypuszczenia mogą być funta kłaków warte: równie prawdopodobne jest, że bohaterka felietonu, antycypując retorykę, po jaką sięgnęły stosunkowo niedawno władze, mówiąc o „grasujących w lasach bandach” miała na myśli zorganizowane grupy uchodźców.

*Wojciech Stanisławski*

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---